

W powietrzu unosił się zapach lasu. Odświeżający, czysty, przywodzący na myśl zielone ścieżki usłane igłami i szyszkami, krzaki jagód, paprocie, strzeliste drzewa i...

- I cholerne gówno pod każdym drzewem, przykryte stertą papieru toaletowego – mruknął Tadeusz. Przynajmniej jemu wydawało się, że wydał jakiś dźwięk, choć to niełatwe, kiedy jest się uwięzionym w płytkach na korytarzu. Darł się na sprzątaczkę, kiedy nad nim przechodziła, ale nawet nie spojrzała w jego stronę. Za to on zerknął na nią; mógł obrócić głowę w tę stronę. Momentalnie tego pożałował.

- Ta baba ma ponad sześćdziesiąt lat na karku, a łązi bez majtek! – Wstrząsnął się z obrzydzeniem. – Na co ona liczy? Że ktoś ją dopadnie w tym holu? Zaciągnie do kantorka i przetrzepie tylek? Oj, zakurzyłoby się, zakurzyło.

Jak ona się nazywa? – głowił się Tadek. – Lewandowska? - Tak, Maria Lewandowska, babsko z petem w ustach. Mówili na nią Marysia Lokomotywa, bo mimo zakazu zasuwała z papierosem po korytarzach i klasach, machając miotłą i mopem w rytm jakiejś melodii, którą w kółko nuciła. - A wsiądź na trzonek i odleć w diabły! – wrzasnął Tadeusz.

Tylko spokojnie, tak nie zachowuje się dyrektor szkoły. To nie przystoi. – W głowie rozbrzmiał głos jego żony. Kolejne babsko, które nie chciało dać mu spokoju. Przykleiła się do umysłu jak pijawka. Niewdzięczna suka. Mało jej było prawie trzydziestu lat małżeństwa, dwójki dzieciaków i domu za miastem? Od blisko roku byli w separacji. No to co, że miał małe problemy z... ze sobą. Małe, malutkie, miękkie nocne problemy. Przecież jest już po pięćdziesiątce, do jasnej cholery, co ona sobie wyobrażała? Hej, hej, jestem Rambo-Wiecznie-Stercząca-Lufa, chcesz się zabawić, malutka? Znalazła takiego chojraka i rządziła z nim gdzieś nad morzem. A niech szaleje, co tam. Miał inne zmartwienia.

Dyrektor utkwiał na głównym korytarzu swojej szkoły, nie mógł ruszyć ręką, nogą, a do tego na jego krzyki byli głusi wszyscy wokół. Mógł patrzeć i tylko nieznacznie ruszać głową. Świetny widok na cały hol: od drzwi wejściowych, do ostatniej sali lekcyjnej. Widział zejście do szatni i schody na piętro. Kilkanaście kroków dzieliło go od własnego gabinetu.

- Jasny szlag! – mruknął. Nie leżał na posadzce, nie kulił się przyklejony do płytek. Leżał w płytkach, w środku, wepchnięty w podłogę, wtarty w fugę, rozsmarowany jak płyn do czyszczenia podłóg. – Brr! Płyn do czyszczenia! – Wzdrygnął się. Leśny powiew. Nie znosił tego zapachu. Przywodził na myśl zatrucie i rozwolnienie, bieganie po krzakach i parzenie tyłka trującym bluszczem. Włożenie w cudze odchody, rozsiane w przeróżnych miejscach jak cholerne grzyby. – Jak tylko się stąd wydostanę, każę zmienić im tego smroda na coś porządnego. Dlaczego nie kwiaty? Wanilia? Choćby morska bryza, a co tam, wszystko lepsze od choinek, przynajmniej nie chce się rzygać.

Jak tylko się stąd wydostanę... Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Nie wiedział nawet jak się tutaj znalazł. W jednej chwili wędrował sobie nad rzeką za swoją działeczką, rach-ciach, i gapi się z wysokości podłogi na nogi sprzątarek, które zmierzały do wyjścia.

- Stary podobno urwał się na wakacje. Nikomu ani słowa, wsiadł w samochód i pojechał.

- Gdzie niby? Piernik gdzieś się rusza? – Marysia Lokomotywa odpaliła papierosa od papierosa.

- Nie wiem, na Mazury, za granicę, pojęcia nie mam. No ale jak nie odbiera telefonów, no to co miałyby niby robić, hę? Przecież go nie porwali, kto by go tam chciał mieć na głowie? – Koleżanka Lokomotywy zachichotała z dłonią przy ustach. – Pewnie za tydzień wróci. Góra dwa.

Cholerne suki! – pomyślał Tadeusz. – Ja im dam „stary”, ja im dam „piernik”! Niech no się wydostanę, to im nogi z tyłków powyrywam. Niech je...

Tak, szanowany dyrektor szkoły z niewyparzoną jęzorem. Staruszkę, oprzytomniej, masz swoje lata. – Głos Mariki rozbrzmiewał w głowie. Jakby widział ją przed sobą – niska, tłusta, z grymasem ust, przypominającym uśmiech. Jasna cholera, co go podkusiło, żeby wziąć z nią ślub? Samo imię jakieś takie

nie polskie. No i masz, wyszło sztydło z worka. Miała kochasia, bogatego młokosa, który orał jej małe poletko, nawoził i podlewał, żeby wiedziała, jaki jej mąż jest lichy, ile lat straciła bez orgazmów i twardego... – Jeny, on musi być jakiś nienormalny... – mruknął Tadek. – Może wyszedł z więzienia? Zrezygnował z bycia pustelnikiem? Kto przy zdrowych zmysłach chciałby w ogóle jej dotknąć? No może poza młodym nauczycielem języka polskiego (obecnie na stanowisku dyrektora), który doznał nagłego załabnięcia racjonalnego myślenia, dał się zaciągnąć do łóżka i przed ołtarz. To było dawno i nieprawda. No i co teraz? – pytała Marika w jego głowie. – Co teraz, mój dzielny dyrektorku?

Zgasły światła. Która to noc tutaj? Było poniedziałkowe popołudnie. Przechadzkę urządził sobie w piątek. Wziął dzień wolny, wspominał sekretarce o urlopie. Faktycznie, chciał odpocząć tydzień-dwa. Wybrał się na działkę, siedł wzdłuż tej cholernej rzeki i... I co? I dopiero wczoraj otworzył oczy. Nie wiedział gdzie jest, ani co się dzieje. Zapomniał, jak się unosi powieki. Wczoraj oprzytomniał, zamrugał i zaczął krzyczeć. Krzyczał, bo nie mógł się podnieść. Stwierdził, że w środku nocy wrzask i tak nie ma sensu, nikt go nie usłyszy. Począł na uczniów z pierwszych, porannych autobusów. Byli na miejscu pół godziny przed zajęciami. – Hej! Tutaj! Tu jestem! – wołał, czując, jak łzy spływają mu po policzkach. Leżał sparaliżowany na holu, na zimnej podłodze, a teraz dojrzy go ta dziewczyna z naszywką Metaliki na plecaku. Podbiegnie i zapyta, czy wszystko w porządku, wezwie pomoc, woźnego, pogotowie, kogokolwiek. Dziewczyna z naszywką szła w jego kierunku, a Tadeusz powtarzał w kółko słowa podziękowania. Łykał łzy i dziękował, łkał i...

Para glanów przeszła po nim, jakby go tam wcale nie było. Nie czuł nacisku butów, nie czuł ciężaru dziewczyny. Na chwilę świat przesłoniła mu podeszwa czarnego buciora. Oczy trzymał otwarte, nie musiał nawet mrugać. Przyglądał się bieżnikowi podeszwy, nie mając sił na jęk.

Nie słyszała, nie widziała... Nie było go. Tylko kafelki, kremowe kwadraty z brązowymi wzorkami, położone pięć lat temu podczas remontu szkoły. Kafelki, fugi, i on, wtopiony w podłogę. Wpadł do tej cholernej rzeki, a teraz tkwił uwięziony w ceramice. Proszę państwa! Zupełnie nowy – Duch Podłogowy!

Po trzech dniach zmartwychwstał Jezus. Trzy dni leżał w grobie, po czym wstał i ruszył do ludzi.

Po trzech dniach Tadeusz był bliski szaleństwa. Trzy dni leżał w kafelkowej trumnie, nie mógł wstać, a po nim chodzili ludzie. Uczniowie, nauczyciele, ekipa sprzątająca, rodzice. Kurde, jakiś idiota wpuścił tu psa; kundel obwąchał Tadekowi nos, podniósł nogę i ulżył sobie. Zapach uryny i wrażenie lepkości. Gdyby mógł, ugryzłby psa w łapę.

Przypomniał sobie, jak jeździł z Mariką do jej rodziców w odwiedzin. Sadzali go za stołem, podstawiali obiad, tuczyli ciastem, poili kawą i sokiem grejpfrutowym, pytali o zdrowie i pracę, po czym przestawali dla nich istnieć. Kolejne godziny zajmowało mu skubanie placka, podjadanie ciasteczek i dolewanie soku do szklanki. Wielki dzban prawie całkowicie go zasłaniał; szkło wykrzywiało sylwetkę i twarz, odrealniało. Słuchał blebleble Mariki z rodzicami na każdy możliwy temat, a próby wtrącenia się do rozmowy ignorowali zdawkowym „Tak, tak, oczywiście”, w ogóle nie słuchając. Siedział tam, za stołem, szkłem, sokiem, słuchając o tym, co u Mariki w pracy, co porabia w domu popołudniami, jak spędza wieczory, co ostatnio oglądała, czytała, o czym marzyła, co robiła na obiad, jak często chodzili do łóżka, ile miała orgazmów, dlaczego nie miała, czy rozmiar ma znaczenie, a ile to znaczy za mały?

Podobnie czuł się tutaj, w więzieniu kafelków. Ludzie chodzili po Tadeku, mówili nad nim, uczniowie ciskali torby, które z „szszuuu” prześlizgiwały się po nim i uderzały w ścianę, dziewczyny tupwały z radością, słuchając najnowszych wieści z życia erotycznego którejs z nich, chłopaki chwalili się nowymi „towarami” wyrwanymi na dyskotekę... Miał dość. Nie mógł się odezwać, nie mógł być usłyszany, nie mógł nic zrobić.

I wciąż chciało mu się pić.

- No, dziewczyno... No dawaj, już! Podejdź tutaj, proszę, podejdź jeszcze kawałek – Tadek szeptał,

skupiony na półtoralitrowej butelce wody w dłoni uczennicy. Język przysechł do podniebienia, w ustach wrażenie, jakby zjadł tonę sproszkowanej fugi. – Podejdź tu i wlej mi tę cholerną wodę do ust, proszę cię! – Nie mógł wyciągnąć rąk, a ludzie go nie słyszeli. Mimo wszystko dziewczyna oddaliła się od ściany, którą podpierała przez większość przerwy, i zbliżała się do Tadeusza. Wpatrzona w podłogę, przypominała archeologa, który próbuje odczytać hieroglify w zagadkowej piramidzie.

- Ona mnie nie słyszy – szepnął dyrektor. – Nie słyszy, ale wyczuwa. Coś w jej głowie szepta cichutko, nie potrafi rozróżnić słów, ale to coś ważnego, jest tego pewna. No chodź, chodź, to wyróżnię cię dyplomem, wystawię na apelu i zapewnię przejście przez wszystkie klasy bez większych problemów. No podejdź!

Dziewczyna przeczesowała palcami włosy, odsłaniając uszy z kolczykami w kształcie motyli. Nasłuchiwała. Tadeusz nie chciał jej nasłuchiwania, nie chciał jej oglądać, pragnął jedynie butelki wody, którą trzymała.

- Motylku, daj się napić, daj – szeptał gorączkowo. Zdawało mu się, że czuje plastik butelki, chłód zawartości, wilgoć. Młoda wystawiła rękę przed siebie, krok za krokiem zbliżając się do miejsca, gdzie tkwił Tadek. Jakby to butelka ją prowadziła, wielki magnes na wodę przyciągał do siebie orzeźwienie. Jeszcze troszkę, jeszcze...

Dzwonek oznajmujący koniec przerwy wyrwał dziewczynę z transu. Zamrugła kilka razy, rozglądając się wokół. Nie miała pojęcia czego tu chciała i dlaczego używała butelki, jakby była jakąś różdżką do szukania... No właśnie – czego? Różdżką szuka się wody. A wodą? Spragnionych? Szybkim krokiem oddaliła się korytarzem.

- Nie! Nie, nie, nie, kurwa mać, nie! – Gdyby mógł, rozbiłby sobie głowę o kafelki. Piasek w ustach nie przeszkadzał w mówieniu. Przypominał jedynie, że niebawem cały Tadeusz zamieni się w zawartość podłogi. – Umrę tutaj. Umrę tutaj jak jakiś czubek, w płytkach. A ostatnią rzeczą, jaką zobaczę, będzie któryś z uczniów na szybkiego odpisujący zadanie domowe. - Pomyślał o podcięciu żył, ale i to skojarzyło się tylko z zaspokojeniem pragnienia: – Krew to płyn, krwi można się napić, przecież cholerne wampiry piją krew, prawda? Jasny szlag!

Dojrzał kartonik pod samym oknem. Sok jabłkowy. Był pewien, że jest w połowie pełen. Czuł każdą kroplę we wnętrzu kolorowego pudełka. – No chodź, no chodź – szeptał. Kartonik drgnął. – Jeszcze, jeszcze... - Kartonik przesunął się po podłodze, sunął po płytkach, ale Tadeusz nie widział pudełka, nie widział czerwonej rurki wystającej z boku. Zbliżała się do niego ciecz i tylko to się liczyło.

- Rozmach. Brakuje ci rozmachu, mój drogi – powtarzała przez lata Marika. – Jak coś robisz, to na małą skalę. Jesteś dyrektorem, ale w małej szkole, w małej miejscinie. Zarobiłeś pieniądze na giełdzie, ale starczyło na spłatę reszty kredytu za dom, i na nic więcej. A kiedy zabierasz mnie ze sobą na randkę, to w zwyczajne miejsca, a mi marzy się rozmach. Kolacja przy świecach w restauracji, spacer po Paryżu, gondola w Wenecji... Ech, bez rozmachu człowiek się nie rozwija i usycha.

Musiał przyznać jej rację. Bez rozmachu człowiek usycha. Przyciągnął do siebie sok jabłkowy i wchłonął zawartość do ostatniej kropelki. Kartonik zatrzymał się nad jego ustami i z cichym – Trrr! – rozdarł się i wylał zawartość na kafelki. Tadek chłonał. Czuł smak jabłek, czuł wilgoć; nie tylko ustami i językiem, ale całym ciałem. Każda komórka ciała pragnęła wody.

- Żyję w suchym środowisku – zachichotał Tadeusz. Dostrzegł półlitrową wodę mineralną pod ławkami. Przyturlała się posłusznie. Plastik z jednej strony wyparował – Sss!, jakby dotknął rozgrzanego metalu. Woda zalała twarz, a Tadek pił na swój sposób. Czuł, jakby każda komórka ciała, każdy centymetr skóry, miała malutkie usta.

- Rozmach... - szepnął Tadeusz. Sobota. Cały tydzień w więzieniu, samotny weekend, a pustynia stawała się nie do zniesienia. Przeczesał myślami szkołę metr po metrze, nawołując cicho. W piwnicy sucho, na parterze nic do przyciągnięcia, na piętrze pustka. Nie wyczuwał żadnych butelek ani kartoników. Zapadł w niespokojny sen, gdzie jednocześnie leżał w podłodze i na dnie rzeki, wpatrując się w wodę i

niebo nad nią. Nie mógł się z niej napić, choć otwierał usta i ssał całym ciałem. Budził się, przypominał sobie, że świat to wielka pustynia i zasypiał ponownie. Słyszał deszcz, wodospady, rwące strumienie. Pił chciwie z chmur wysoko nad ziemią, wyciskał je jak gąbki. Na dobre ocknął się w nocy, kilka godzin przed pierwszymi poniedziałkowymi zajęciami. – Skup się, Tadziu, skup się. Woda. Płyn. – Kilka metrów od niego, po lewej, prawie że na wyciągnięcie ręki, szybkie trzy kroki, moment czołgania... Zimna, mokra, orzeźwiająca. Całe hektolitry wody. Tadeusz skoncentrował się na łazience. Nie chciał odkręcać kurka; nie miało to sensu, nie wiedział jak zatkać zlew, żeby woda wyciekła na zewnątrz. A tak chciało mu się pić. – Rozmach to rozmach – mruknął. Rury skrzypnęły cicho.

Kilka razy stracił przytomność, zapadał w gorączkowe sny o leżeniu w szklanej trumnie, zanurzającej się w wielkim jeziorze. Walił pięściami w wieko i lizał szkło, jakby miał szansę na znalezienie najmniejszej dziurki. Budził się i przypominał sobie o rurach z wodą. Skrzypiały, wyły, protestowały. Tylko że nie było szans, żeby nie puściły śruby, nie było szans, żeby wszystkie rury nie odgięły się od ściany i nie wypłuły z siebie wody. Tadeusz zasysał wodę swoim umysłem. Z łazienki, po podłodze, zmierzał ku niemu strumień wybawienia.

Pił chciwie, śmiejąc się i ssąc zza swoich kafelek. – Pić, pić, pić! – chrypiał, przyzywając więcej i więcej wody. Słyszał skrzypienie rur na piętrze i w piwnicy. Gdyby mógł, przyzwałby wodę z całego świata, wszelkie rzeki i strumienie, deszcze i wodospady. Gdyby mógł...

Gdyby mógł zabić woźnego, zrobiłby to właśnie w tym momencie. Tadeusz zamknął usta, kiedy wielka szmata przejechała mu nad twarzą. Woźny zamknął dopływ wody i w pośpiechu sprzątał korytarz.

- Niech cię, Michał, niech cię... Dlaczego musisz przychodzić tu tak wcześnie? – Tadeusz zapadł się głębiej w swoje więzienie, zamknął oczy i śnił o wodzie.

- Dlaczego ja? – pytał na głos Tadek. – Dlaczego ja, właśnie tutaj, bez kropli wody? Przecież musi być przyczyna. Dlaczego ktoś nie rozwali tego cholerstwa i mnie nie wyciągnie? Weźcie coś wielkiego, młot, kilof, cokolwiek, tylko mnie stąd wydostańcie!

Dni zlewały się ze sobą, noce były majakami sennymi. Zbliżał się kolejny weekend. Nie miał sił próbować po raz kolejny dostać się do wody z łazienki. Czasem przyciągnął do siebie jakąś na pół opróżnioną butelkę i ssał ją, aż został sam plastik rozplaszczony na podłodze, jakby przejechał tędy walec drogowy. Patrzył tępym wzrokiem na uczniów, nauczycieli, obsługę; sunących korytarzem, uśmiechniętych czy zapłakanych, ale żyjących, chodzących i mogących się w każdej chwili napić.

- Zombie podłogowe – mruknął Tadek, chichocząc. – Czuję was, czuję każdą komórkę.

Czasem ludzie tracili dla niego opakowania swoich ciał. Nie widział młodzieży z torbami, nie widział skóry – tylko wielkie chmury wody, po które wystarczy wyciągnąć rękę. Wystarczy zassać.

- To nie wrażenie – szepnął dyrektor, który zapominał o tym, kim kiedyś był. – Omijają mnie. Ludzie nie przechodzą już nade mną, nie deptają miejsca, gdzie leżę. Nikt nie mówi o tym głośno, nie pokazuje palcami, ale te płytki nie mają śladu buta, omijają je nawet sprzątaczkę ze swoimi mopami. Oni wiedzą. W środku, w głowach, zdają sobie sprawę, że jedno dotknięcie i się nie powstrzymam.

Wysuszony trup szeptał w swoim więzieniu i chciał umrzeć. Bo ziemia jest wilgotna i czasem pada deszcz, spływając do grobu. Szeptał i patrzył na chmury wody, z których mógł spaść deszcz, gdyby tylko zawołał. Chmura podchodzi do chmury, łapie ją i przyciąga do siebie. Większa chmura rusza się gwałtownie, a mniejsza uderza o ścianę. – Jakim cudem nie rozplynęła się po niej? – szepnął Tadek zdumiony. Większa chmura ma coś w ręce, coś, co nie jest realne, bo nie ma w sobie wody. To tylko przywidzenie, nic ważnego i przydatnego.

- Ocknij się wreszcie, cholerny impotencie! Jak zwykle nic nie widzisz! Może być nie wiem jak mokro, a ty i tak nie będziesz wiedział, co z tym zrobić! – głos Mariki zadudnił pod czaszką.

Zmrużył oczy. Chłopak podnosił z podłogi dziewczynę. Lewą ręką trzymał za włosy i przyciskał do ściany, każąc się wyprostować. Dziewczyna stała na nogi, jęcząc i bełkocząc coś niezrozumiale. Tadeusz wychwycił tylko strzępy: - Nie będę więcej... Nie chcę go... Przestań... Jeden spacer... - Przyjrzał się młodzieńcowi (chmura wzburzonej, kipiącej cieczy, która chciała się wylać, chciała wlać się do ust...) i jego wykrzywionej wściekłością twarzy. W prawej dłoni nóż. Trójka dziewcząt na ławce w drugim końcu korytarza nie widziała co się dzieje.

- Nie pomożesz? Nawet palcem nie ruszysz? Nie potrafisz nawet tak prostej... - Marika marudziła w głowie. Do diaska z kobietami. Powinni już dawno wziąć rozwód.

- Milcz – mruknął. – Nie wiem nawet jak miałbym to zrobić, przecież nie mogę się ruszyć z tej cholernej podłogi. Nie chwycę go za dłonie, nie kopnę w jaja, nie potrafię go powstrzymać. Nawet gdybym nagle stąd wyskoczył, to liczyłbym bardziej na to, że padnie na zawał serca, bo nie wiem czy będę miał siłę ustać na nogach. Jezu, jak chce mi się pić...

- Ssij – rozległ się inny głos, głos nowego Tadeusza, spragnionego i nawołującego rzeki świata. – Ssij ile wlezie.

Chłopak zamachnął się lewą ręką. Głowa dziewczyny odbiła się od ściany. Płakała, zasłaniała twarz rękami, próbowała go odpychać, ale odtrącał dłonie i pokazywał (coś metalowego, co do niczego nie mogło się przydać, bo nie było ciecżą) nóż. Mówił do niej, ale Tadeusz nie słyszał ani słowa. Nieważne. Mógł jej grozić, mógł ostrzegać, mógł mówić, że ją kocha i nie pozwoli się spotykać z nikim innym, prędzej ją zabije niż pozwoli dotknąć innemu. Dla spragnionego człowieka liczy się tylko woda.

– No chodź, gnojku.

Chłopak drgnął. Dał krok w tył i obejrzał się przez prawe ramię. Spojrzał w miejsce, gdzie leżał unieruchomiony dyrektor. Nie miał pojęcia o tkwiącym tam ciele. Dla niego to jedynie podłoga. Płytki i tylko płytki. Mały placyk, do którego musiał podejść teraz, zaraz, natychmiast. Już!

- Co ty mi robisz? – spytał dziewczyny spokojnym głosem. – Co wymyśliłaś?

Chciał tu zostać, chciał ją trzymać, chciał jej przyłożyć, ukarać. Ciało miało własną wolę – ciągnęło go do tyłu, jakby wpadł w morski wir. Kiedy próbował to powstrzymać, czuł, jak rwie go skóra. Ktoś ściąga papiera z cukierka – przemknęło mu przez głowę. Stopy sunęły po podłodze, ale ręka nadal mocno trzymała dziewczynę za włosy.

- Nie uciekniesz mi, suko – syknął przez zęby, czując, jak coś rozrywa mu plecy, odgina ręce do tyłu i szarpie za głowę. Niewidzialne ręce chciały przytulić, niewidoczne usta pocałować. Puścił czarne włosy, żeby jeszcze raz się zamachnąć, ale był już za daleko. – Ty... – wychrypiął, bo czuł, jak język ucieka w głąb gardła. Coraz słabiej widział; oczy ginęły gdzieś we wnętrzu oczodołów.

Tadeusz ssął całym sobą, zasysał chmurę wody, uwięzioną w czymś dziwnym, co trzymało ją w jednym kawałku. Chmura opierała się. Zacerpnął tchu, na chwilę przerwał (chmura rzuciła się do przodu i wbiła w drugą chmurę coś metalowego i niepotrzebnego) i nie wiedział dlaczego poczuł wściekłość. Jakby stało się coś złego, do czego nie powinien był dopuścić.

- Ssij! – krzyczało w głowie. Chmura odskoczyła do tyłu, machając rękoma, szukając oparcia. Mała chmurka osuwała się po ścianie; przypominała poranną rosę, błyszczącą w trawie. – Ssij! – Chmura straciła równowagę i runęła na podłogę. Sunęła przez korytarz, tracąc po drodze warstwę dziwnego opakowania – darł się materiał, zdierała skóra, krzyk rozbrzmiał i ucichł. Tadeusz pił chciwie, przykładając usta do drgającego ciała. Myślał tylko o wodzie, o pragnieniu. Ssał i nie mógł przestać.

- Arghh! – Wynurzył się z wody, zachłannie łapiąc powietrze. Oparł się o brzeg. Leżał w rzece, zanurzony do pasa. Prąd szarpał stopy i ciągnął ze sobą. Podciągnął się jeszcze kawałek, drapiąc piasek i chwytając się korzeni. I jeszcze kawałeczek... Zagłębił się w ciemności.

Tadeusz sprzątał rzeczy z biurka. Ładował do reklamówek – kalendarze, notesy, ołówki, zdjęcia dzieci,

wieczne pióro, które dostał od nich na urodziny, drobiazgi z dawnego życia. Przeczesał dłonią resztki włosów. Spojrzał na wychudzone ręce i kościste nogi. Przypominał szkielet człowieka, kogoś, kto wrócił z zaświatów.

- Tak było – mruknął Tadeusz. – Wstałem z martwych.

Miał dużo szczęścia, że brzegiem rzeki przechodziła grupka młodych chłopaków. Jeszcze większe szczęście, że nie uciekli na jego widok, tylko wyciągnęli całego z wody i wezwali pogotowie.

Wyniszczony organizm dochodził do siebie kilka tygodni. Lekarze drapali się po głowach – przypominał jednego z topielców, jakich wylawiali z rzek i jezior. Jednocześnie silnie się odwodnił. Po leczeniu mógł wreszcie chodzić, ruszać się, wrócić do życia. Mógł...

Tadeusz zrezygnował z pracy. Ktoś go zastąpi. Przyspieszył sprawę rozwodu. Szykował się do sprzedaży domu. Jeszcze nie zdecydował, czy będzie kupował nowe mieszkanie. Nie miał pojęcia, czy dotrwa do rozwodu. – Może zostaniesz wdową, kto wie? – szepnął.

Stał na korytarzu, naprzeciw miejsca, gdzie spędził kilkanaście dni, gapiąc się na hol, schody i ludzi. Naprawili łazienkę. Policja przestała przychodzić pytać o martwe dzieciaki. Nie wymyślili powodu, dla którego w tym miejscu leżał na pół obdarty ze skóry chłopak, wyschnięty jak truchło na pustyni. Nie wiedzieli, dlaczego przebita nożem dziewczyna leżała na środku korytarza, przypominając dmuchaną lalkę z sexshopu, z której spuszczone powietrze. Nie mieli pojęcia, dlaczego trzy nastolatki trafiły do szpitala z silnym odwodnieniem, jakby kilkukrotnie brały udział w maratonie. Leżały w połowie holu, rozciągnięte na kafelkach, niczym manekiny, które ktoś chciał zawlec na zewnątrz, ale zrezygnował w trakcie taszczenia.

Tadeusz nerwowo otarł usta. Czy mógł się zabić? Czy mógł chociaż o tym myśleć? Przecież utonął w tej durnej rzece. Wpadł tam i już został, martwy. A jednocześnie gapił się z tej cholernej podłogi na szkołę, odchodząc od zmysłów z pragnienia. Gdzie teraz by trafił? Dokąd by go rzuciło? Jedno wydarzenie zastępowało drugie. Jedno życie zmieniało się w kolejne.

Kłękł przy kafelkach, w miejscu swojego dawnego grobu. Nie dotknął ich. Chciał pogłaskać fugę, musnąć wzór na ceramice, ale nie wysunął nawet małego palca. Otworzył butelkę wody, którą przyniósł i wylał na kafelki. Woda wsiąkała jakby nie było tam twardej podłogi, tylko ziemia spragniona deszczu. – Ktoś mnie zastąpił – pomyślał. – Jedno zastępuje drugie.

- Pij – mruknął Tadeusz. Podszedł do kranu i napełnił butelkę jeszcze raz. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej zamiast wody przynieść truciznę. – Pij i nie szalej.

Wyszedł ze szkoły, modląc się w duchu, żeby nie musiał tam wracać każdego dnia z nową porcją. A jednocześnie wiedział, że dodatkowe litry wody, które przyniósł z łazienki i rozlał wokół, nie starczą na zbyt długo. Bo tam jest sucho. I z pragnienia odchodzi się od zmysłów.

Szedł do domu, zastanawiając się, gdzie leży jego stary kilof.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DamianMorfeusz, dodano 20.09.2009 09:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.